

SIMONE MORO



„Chcę, by mój syn od najmłodszych
lat nauczył się kochać zmęczenie
i porażkę, żeby rozumiał, jak są
drogocenne i ważne, by ruszyć
dalej z nową siłą”

WIDZIAŁEM OTCHŁAŃ



SIMONE MORO

WIDZIAŁEM OTCHŁAŃ

PRZEŁOŻYŁ Z WŁOSKIEGO

Tomasz Kwiecień



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Ho visto l'abisso

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Anna Dworak

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Matteo Pavana

DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2020 Mondadori Libri S.p.A.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, 2022

Wspaniała dokumentacja fotograficzna wyprawy na Gaszerbrum
(grudzień 2019–styczeń 2020) dostępna jest na Facebooku
(@SimoneMoroOfficial www.facebook.com/SimoneMoroOfficial/) oraz
Instagramie (@iamsimonemoro www.instagram.com/iamsimonemoro/)

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-67137-03-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



POCZĄTEK

– Tamara...

– Co?

– Tami, nie pójdę po twoich śladach, przejdę trochę bardziej w lewo, okej?

Mówię to i natychmiast robię pół kroku do przodu. Lekko podnoszę nogę, a kiedy ją opieram, nie znajduję niczego, co mogłoby mnie podtrzymać. Moja stopa zapada się w pustkę. Ja zapadam się w pustkę. Spadam, zaraz będzie szarpnięcie, myślę, ale zamiast tego odbijam się od ścian, obracam się wokół siebie. Nie przestaję spadać w otchłań. Czekam na szarpnięcie, ale nic się nie dzieje, nie zatrzymuję się, szarpnięcie nie nadchodzi.

Nade mną, coraz wyżej i dalej, Tamara krzyczy z bólu.

Tymczasem ja nadal spadam w lodowatą ciemność. Obraca mnie, teraz jestem ułożony głową w dół i wciąż lecę.

Rozpaczliwy głos Tamary. Znowu.

Wreszcie zwalniam. Ale jeszcze się nie zatrzymuję. Pod sobą wciąż czuję otchłań i próbuję się dowiedzieć, jak bardzo jestem połamany i czy istnieje jakieś wyjście, jakieś rozwiązanie, które pozwoli mi przetrwać.

1

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Jest 26 listopada 2019 roku. W Mediolanie, podczas prezentacji mojej najnowszej książki wraz z Tamarą Lunger zapowiadamy naszą kolejną zimową wyprawę.

Na promocji zgromadziła się spora publiczność, a my jesteśmy pełni energii i entuzjazmu: tak jakby opowiadanie wszystkim, że wyruszamy, że wszystko już gotowe, czyniło nasze zamierzenie jeszcze prawdziwszym.

A projekt, który chcemy zrealizować, to powtórzenie w sezonie zimowym słynnego przejścia Reinholda Messnera i Hansa Kammerlandera, którzy w 1984 roku po raz pierwszy połączyli dwa ośmiotysięczniki: weszli najpierw na Gaszerbrum II, a stamtąd dalej, na Gaszerbrum I (te dwa szczyty nazywane są również G1 i G2). Niektórzy z obecnych pamiętają ten wyczyn, inni słyszeli o nim mało albo nie słyszeli wcale i chcą dowiedzieć się więcej.

Opowiadam, że wejście Messnera i Kammerlandera było absolutnie pionierskie: nigdy wcześniej

nie zdarzyło się, aby ktoś zdołał zdobyć dwa szczyty po kolei, nie wracając do obozu, ale pozostając prawie cały czas na grani i łącząc w ten sposób oba szczyty w jednej drodze. W owym czasie panowało powszechne przekonanie, że niemożliwe jest pozostawanie na wysokości przekraczającej osiem tysięcy tak długo i przy tak długotrwałym wysiłku: dwaj Południowotyrolczycy udowodnili, nie po raz pierwszy i nie ostatni, że niemożliwe nie istnieje.

Jeden fragment w relacji Messnera z tej epokowej wyprawy stał się sławny. To ten, gdy po powrocie do domu z naturalnością opowiedział, że po wejściu ze swoim partnerem na G2 poczuł się wystarczająco silny fizycznie i psychicznie, aby zdecydować się na kontynuowanie drogi w kierunku G1. Czuł się dobrze, dlatego więc nie spróbować pójść dalej – ta pozornie prosta decyzja zmieniła historię naszego wertykalnego świata. Przez następne trzydzieści pięć lat, pomimo kilku prób, nikt nie był w stanie powtórzyć ich wyczynu nawet latem.

Nasz pomysł, tłumaczę, polega na tym, że pójdziemy tam zimą i w przeciwieństwie do dwóch poprzedników najpierw wejdziemy na G1, a stamtąd, pokonując przełęcz oddzielającą oba szczyty, pójdziemy na G2. Mówię to i myślę, że może i jest to marzenie, ale tak jak w przypadku innych moich marzeń zostało precyzyjnie zaplanowane.

Publiczność słucha, opowiadamy o przejściu z G1 na G2 w taki sposób, jakbyśmy zdecydowali o nim kilka minut wcześniej, ale projekt jest oczywiście przygotowywany od jakiegoś czasu. Wiemy dokładnie, kiedy wyruszamy, i wiemy też, jak to chcemy zrobić.

– Jaki będzie skład zespołu? – pyta ktoś.

Odpowiadam, że podstawową ideą, również zgodną z tym, co robiła para Messner–Kammerlander, jest bycie lekkim. Od samego początku wiem, że chcę wyruszyć tylko z jedną osobą, i tą osobą, tak jak w poprzednich wyprawach, będzie Tamara Lunger. Wraz z nami, ale nie w zespole atakującym, pojadą dwaj profesjonaliści i przyjaciele zarazem, kamerzysta Matteo Zanga i fotograf Matteo Pavana, których poprosiliśmy o towarzyszenie nam do bazy, aby zarówno jak najlepiej udokumentować pierwszą część wyprawy, jak i sfilmować dronem, w miarę możliwości, kolejne obozy.

– Możemy poznać więcej szczegółów? – pada pytanie z sali.

Kontynuuję wyjaśnienia.

W trosce o lekkość nie będziemy używać transportu mechanicznego: zrezygnujemy z helikoptera, zarówno z powodów etycznych, jak i dlatego, by wesprzeć ekonomicznie miejscową ludność, choć pensja tragarza w zimie – nietrudno zrozumieć

przyczynę – jest prawie czterokrotnie wyższa niż w lecie. W rzeczywistości szybciej i taniej byłoby użyć śmigłowca, ale my wszystko zrobimy na piechotę. Wreszcie, z poszanowaniem zasady astronomicznej zimy, zamierzamy rozpocząć wyprawę po 21 grudnia.

Wybór Gaszerbruma nie jest oczywiście przypadkowy ani też podyktowany jedynie względami sentymentalnymi: dodaje mi ufności bagaż doświadczeń zdobytych podczas pierwszej zimy na G2 z Denisem Urubką i Corym Richardsem. Przejście z G1 na G2 jest ogromnym wyzwaniem, ale tak jak w przypadku innych moich prób, nie jest to skok w ciemno: myśl, że już zdobyłem jeden z tych szczytów w zimie, daje mi spokój niezbędny do snucia wielkich planów. Znam G2 „osobiście”, jeśli mi wolno tak powiedzieć, i znam też lodowiec, przez który będziemy musieli przejść, aby dotrzeć do podnóża obu szczytów, całą tę serię szczelin i seraków, które już pokonałem, również w stylu lekkim, z Denisem i Corym. Kluczowe jest tutaj znalezienie drogi przez lodowiec i zrobienie tego jak najszybciej: wspomnienie tego, jak łatwo udało mi się ją znaleźć w 2011 roku, daje mi pewność siebie, choć wiem, że na lodowcu za każdym razem jest inaczej. Szczerze mówiąc, co innego mnie niepokoi w tej wyprawie.

Zastanawiam się, czy oboje wytrzymamy tak intensywny wysiłek, czy zniesiemy tak trudne warunki pogodowe. Martwię się, czy starczy nam z Tamarą sił w nogach i czy będziemy mieli dość mocne płuca, by przedrzeć się przez śnieg, bo przecież nikt nie będzie szedł przed nami, by nam przecierać szlak. Jest jeszcze coś, co zajmuje moje myśli: budowa obozów i wybór strategii ataku, która w tym przypadku nie będzie dotyczyć jednego szczytu, ale dwóch.

Na tym nie kończymy. Mamy jeszcze jedną informację, czy może ciekawostkę, wartą opowiedzenia. Otóż jakiś czas przed tą prezentacją skontaktował się z nami nowatorski ośrodek naukowy EURAC w Bolzano, specjalizujący się między innymi w biomedycynie i badaniach środowiska wysokogórskiego. Szukali obiektów doświadczalnych do badań nad niedotlenieniem ludzi zdrowych i przyzwyczajonych do przebywania na dużych wysokościach. Powiedzieli Tamarze i mnie, że bylibyśmy idealni do zbadania tego, jak organizm ludzki dostosowuje się do dużych wysokości. Od razu uprzedzili, że większość testów została by przeprowadzona w ich ośrodku, w komorze hipobarycznej, zdolnej odtworzyć każdy klimat panujący na naszej planecie oraz wszystkie możliwe warunki wysokościowe i powietrzne. Słuchając ich, również nabraliśmy przekonania, że możemy się przydać, tym bardziej że ostatecznym celem

projektu jest pomoc w badaniach nad pacjentami, którzy w normalnych sytuacjach, to jest na małej wysokości, cierpią na patologię układu krążenia i oddechowego.

Uznaliśmy, że to świetny pomysł, a kiedy o tym mówimy, na sali zapada absolutna cisza.

– Dziękuję wszystkim – mówimy na pożegnanie.

Dziennikarze i fani życzą nam powodzenia, wieczór dobiega końca, a kiedy ruszamy z Tamarą do naszego naukowego bunkra w Bolzano, jesteśmy nastawieni jeszcze bardziej optymistycznie.

W kolejnych dniach spędzanych w ośrodku EURAC uświadamiamy sobie, jak surowe warunki nałożyło na nas podjęte zobowiązanie. Coraz częściej zadajemy sobie pytanie, jak poradzimy sobie z koniecznymi spotkaniami i przygotowaniem do wyprawy, skoro zaraz po początkowej fazie badań w komorze, gdy jeszcze przebywamy w niej z przerwami, będziemy musieli wejść do niej na dłużej i zostać całodobowymi pustelnikami. Program badawczy przewiduje bowiem, że osiągnąwszy warunki panujące na wysokości 3500 metrów n.p.m., będziemy przenoszeni coraz wyżej i wyżej, aż do 7700 metrów na koniec badania.

I to jest problem: mamy jeszcze tysiąc rzeczy do zorganizowania: sprzęt, bagaż, bilety lotnicze. Sytuacja jest taka, że nasi sponsorzy są zmuszeni

przywozić sprzęt bezpośrednio do nas, abyśmy mogli go sprawdzić, złożyć i przygotować.

Ale najlepsze dopiero przed nami. Nie dość, że z najwyższym wysiłkiem realizujemy podjęte zaangażowanie, to kiedy na kilka godzin opuszczamy paralelny świat komory, dowiadujemy się, ile oskarżeń i polemik wzbudziła nasza otwarcie zadeklarowana decyzja o spełnieniu prośby badaczy z EURAC. Oskarża się nas, że oszukujemy, że idziemy na skróty: na portalach społecznościowych wrą dyskusje mające na celu napiętnowanie tego, co wielu określa jako kolejne odejście od ducha alpinizmu. Dochodzi do paradoksalnej sytuacji: spędzamy godziny we wnętrzu komory hipobarycznej, tęskniąc za przyjaciółmi i rodziną, myśląc o tym, że znacznie lepiej byłoby się aklimatyzować podczas wysokogórskiej wspinaczki wśród lodowców i ośnieżonych szczytów, tak jak robiliśmy do tej pory, a kiedy wychodzimy na zewnątrz, zamiast znajdować ukojenie w postaci naturalnego światła i dobrych emocji, musimy się bronić przed krytyką i złośliwymi oskarżeniami, a często wręcz przed jadem.

Obelgi płyną nie tylko od dyżurnych hejterów, ale także z naszego świata – od kolegów, a nawet przyjaciół, którzy rzucają się nam do gardła na portalach społecznościowych. Irytuje mnie i zaskakuje, że wykorzystanie sieci społecznościowych przekroczyło już

poziom alarmowy i że nawet w moim świecie nikt nie jest w stanie powiedzieć ci osobiście, prosto w twarz, co o tobie myśli, ale woli powierzać swoje myśli postom na Facebooku czy Twitterze, które docierają do tysięcy, a w niektórych przypadkach milionów osób. Jest w tym wiele złej woli, a także wiele niewiedzy. Nikt już nie pamięta, że w całej mojej karierze nigdy nie stosowałem przed wspinaczką sztucznej aklimatyzacji. Ani że nigdy nie użyłem tlenu podczas wejść zimowych, natomiast korzystałem z niego przy wspinaczkach na Everest, co zawsze deklarowałem i deklaruję. Uważam, że moja kariera powinna mówić za mnie, ale, jak widać, się mylę. Masakrują nas z powodu wyboru aklimatyzacji na odległość, podejmowanej jawnie i absolutnie bez celu dopingowego. Wszyscy mówią, wszyscy wszystko wiedzą, a nikt na przykład nie pamięta, że adaptacja w komorze hipobarycznej nie jest bynajmniej niczym nowym w historii alpinizmu. Ale media społecznościowe już chyba zmieniły świat.

W końcu nasze testy w EURAC dobiegają końca i na kilka dni przed świętami udaje nam się wreszcie wejść na pokład samolotu na lotnisku Mediolan-Malpensa i zostawić to wszystko za sobą. Przyłatujemy do Islamabadu, spędzamy zwyczajowe kilka dni na załatwianiu formalności i przygotowywaniu sprzętu, a następnie szykujemy się na przelot samolotem,

który w czterdzieści pięć minut zabierze nas do Skardu. Jednak po tym, jak dwa dni z rzędu odwołują nam rejs, poddajemy się i zamiast szybkiego przelotu wybieramy trzydziestosześciodzinną podróż autobusem po siedmiuset kilometrach słynnej – i męcząco krętej – Szosy Karakorumskiej. Ze Skardu kolejny dzień jazdy jeepem do Askole i wreszcie rozpoczynamy podejście wzdłuż lodowca Baltoro. W tym jeszcze dzikim świecie, w jego niezwykłym pięknie, szczęśliwie zapominamy o kontrowersjach i zaczynamy nabierać właściwego nastawienia do wyprawy. Krajobraz, znany mi już z dwóch wypraw: letniej i zimowej, na Broad Peak w 2007 i 2008 roku, jest niezwykły, a my przez około dziesięć dni posuwamy się naprzód w towarzystwie temperatur spadających grubo poniżej minus trzydziestu stopni i słońca, które ogrzewa nas tylko przez kilka godzin dziennie, bo gdy nagle wyłania się zza wysokich gór otaczających jęzor lodowca, równie szybko się za nimi chowa.

To fantastyczna wędrówka; w wielkiej dolinie rzeki Braldu leży sporo śniegu, ale czasami możemy dostrzec ślady pozostawione przez zespół idący przed nami – Denisa Urubkę, Dona Bowiego i jego dziewczynę, Lottę Hintsy – i kierujący się na Broad Peak. Wraz z Tamarą, jednym i drugim Matteo i mną idzie siedemdziesięciu pięciu tragarzy. Część z nich niesie jedzenie dla siebie samych, inni dźwigają nasze

sprzęty podzielone na ładunki po piętnaście kilogramów na głowę. Ślad Denisa i jego ludzi pojawia się od czasu do czasu, ułatwiając nam marsz, a potem znika, zmieciony wiatrem. W końcu docieramy do Concordii, gdzie zbiegają się trzy jężory lodowcowe – K2, Broad Peak i Gaszerbrum – i nasz szlak się rozdziela: jedną drogą idzie się na K2 i Broad Peak, a drugą w stronę grupy Gaszerbrum – i tą właśnie zmierzamy.

Od tego momentu na drodze do bazy jesteśmy już tylko my. Docieramy do celu 2 stycznia i postanawiamy rozbić obóz, tak samo jak w 2011 roku, bardzo blisko stałego posterunku wojskowego, zbudowanego prawie cztery dekady temu u podnóża G1, w miejscu znanym tutaj jako *disputed zone*, strefa sporna. Obszar graniczny między Indiami a Pakistanem pozostaje przedmiotem sporu i jest przyczyną stałych napięć między dwoma krajami. Na mapach zaznaczony jest linią przerywaną, oznaczającą niezdefiniowaną i nigdy nieuzgodnioną granicę. Choć może się to wydawać dziwne w tym właściwie dziewiczym terenie, posterunek w pobliżu nas nie jest jedyną placówką wojskową: istnieje jeszcze jedna, położona wyżej, na wysokości 6000 metrów, gdzie, o ile mi wiadomo, więcej osób umiera z zimna i choroby wysokościowej niż z powodu ewentualnej walki z indyjskim wrogiem.

Namioty każę rozbić w wyraźnie widocznym zagłębieniu, które latem jest korytem strumienia

wpływającego spod lodowca. W najbliższych tygodniach ochroni ono nasze namioty przed wichrem burz i zamieci, który mógłby je zerwać.

Idę przedstawić się żołnierzom, wyjaśnić, kim jesteśmy i co zamierzamy. Są dla nas bardzo mili, pewnie dlatego, że nasza obecność ożywia nieco nudę tkwienia w zupełnie odizolowanym zimą miejscu, gdy – w przeciwieństwie do sezonu letniego, kiedy pełno tu grup trekkingowych i ekspedycji wysokogórskich – mijają miesiące bez żywej duszy. Odnoszą się do nas przyjaźnie, częstują herbatą, a w kolejne dni, kiedy nie jesteśmy zajęci szukaniem drogi, często odwiedzamy się nawzajem.

Tamara i ja od razu bierzemy się do pracy: chcemy zyskać czas na przygotowanie obozu pierwszego, więc natychmiast zaczynamy szukać optymalnej drogi przez pierwszą część lodowca z zamiarem pokonania jej w kilka dni. Celem jest dotarcie z 5000 metrów, gdzie biwakujemy, na wysokość 5500 metrów – jak pamiętam z doświadczeń poprzedniej zimy, kończy się tam stromizna i łatwiej będzie rozbić obóz. Pamiętam też, że gdy byłem tu w 2011 roku z Denisem i Coreym, znalezienie drogi przez liczne seraki i szczeliny pośrodku tego labiryntu zajęło nam tylko kilka dni. Wystarczyło powściągnąć niecierpliwość, chodzić tam i z powrotem w poszukiwaniu najmniej niebezpiecznych czy ryzykownych przejść, a potem

dało się już kontynuować aż do podnóża góry i skupić się na tym, jak się na nią wspiąć.

Nie trzeba wiele, byśmy się zorientowali, że w tym roku sceneria jest zupełnie inna. Ruszamy, idziemy, spędzamy kilka pierwszych dni na szukaniu najlepszej drogi, ale od razu widzę, że to, co zapamiętałem z 2011 roku, do niczego się nam nie przyda, a lodowiec po niecałych dziesięciu latach bardzo się zmienił. Przyczyną tego stanu rzeczy, jak sądzę, jest kombinacja czynników. Z pewnością pierwszym jest globalne ocieplenie, a co za tym idzie, przyspieszone topnienie lodu i może też szybsze spływanie lodowca skutkujące pęknięciami. Wojskowi mówią nam, że widzieli też ślady po silnych trzęsieniach ziemi, które ostatnio nawiedziły ten obszar. Nie wiem, czy to prawda, czy nie, ale wiem, że pokonanie tego labiryntu, który niby już znam, wydaje się tym razem sto razy bardziej skomplikowane.

Nadchodzi trzeci dzień, ten, w którym mieliśmy już w planach zakładanie obozu pierwszego, a my jesteśmy wciąż na początku drogi. Mamy takie wrażenie, jakby lodowiec nas odrzucał, nie pozwalał przejść. Pracujemy jak szaleni, ale kręcimy się niemal w kółko, znajdujemy drogi, które kilka metrów później okazują się nie do przejścia i zmuszają nas do wycofania się i myślenia, jakie inne rozwiązanie możemy zastosować. Wieczorem kończymy wyczerpani,

ale po kilku pierwszych dniach postępów kolejny tydzień mija bez przełomu: walczymy jak szaleni, czasami ja idę pierwszy, żeby przetrzeć szlak, czasami Tamara, tracimy siły w poszukiwaniu, ale nie tylko nie udaje nam się wyjść z labiryntu – nawet nie jesteśmy w stanie dobrze się weń zagłębić. Nie zabieramy ze sobą drabin, nie montujemy prawie żadnych poręczówek z wyjątkiem paru kilkumetrowych, minimalnych i niezbędnych: naszym zamysłem jest iść szybko, lekko, nie chcemy tracić czasu i dlatego kiedy zbliżamy się do szczelin, po prostu przeskakujemy nad nimi, gdy to możliwe, albo szukamy naturalnych mostów zawieszonych między jedną a drugą stroną szczeliny, ubezpieczając się nawzajem, lub nawet, w przypadku płytszych szczelin, pokonujemy je, schodząc bezpośrednio na dno i do góry z nadzieją, że po drugiej stronie da się kontynuować.

– Nie ma przejścia... wracamy.

– A tamtędy, Tamara?

– Nie, tutaj też się nie przejdzie.

To, co opowiedziałem Tamarze o moim dawniejszym doświadczeniu z tego miejsca, wydaje się zupełnie inną rzeczywistością. Każdego dnia coraz mocniej się zastanawiam, jak oprócz zmian klimatycznych mogło wpłynąć na ukształtowanie lodowca niedawne trzęsienie ziemi, o którym opowiadali mi wojskowi. Całkiem niedalekie w linii prostej od nas.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova